

MARTA DENYS

ur. 1944



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL, współczesność
Słowa kluczowe	Lublin ; współczesność ; Wysowa Zdrój ; Gorlice ; Nowa Dęba ; PRL ; rodzina Łopacińskich ; willa Łopacińskich w Wysowej Zdrój ; turystyka ; przewodnik ; praca przewodnika ; KBW ; Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego ; praca dyrektora Domu Kultury LSM ; LSM ; dzielnica LSM ; specyfika dzielnicy LSM ; sąsiedzi ; Lubelskie Spotkania Plastyczne ; Dom Kultury LSM ; kino Grażyna ; wakacje w mieście ; FSC ; Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie ; Wojewódzka Federacja Sportu ; hotel Europa ; PTTK Lublin ; Dom Turysty ; TVP Lublin ; programy telewizyjne ; audycje muzyczne ; Filharmonia im. Henryka Wieniawskiego w Lublinie ; współpraca z Filharmonią im. Henryka Wieniawskiego w Lublinie ; Denys, Józef ; Denys, Maria ; Gąbka, Jan ; Łopaciński, Jan ; Łopaciński, Hieronim (1860-1906) ; Księżka-Falger, Teresa (1949-) ; Kukuryka, Stanisław (1928-2010) ; Wyszkowski, Marek (1930-2005) ; Sikorski, Adam (1948-) ; Zdunek, Andrzej (1950-)

1. Wakacje w Wysowej-Zdroju

Mieszkaliśmy w Gorlicach (w zasadzie w Gliniku Mariampolskim) na Podkarpaciu. W Wysowej-Zdroju (około czterdzieści kilometrów od Gorlic i czterdzieści kilometrów od Krynicy) moja mama leczyła zapalenie stawów. Tata [z kolei] organizował obozy sportowe (wtedy jako przewodniczący Komitetu Kultury Fizycznej prowadził powiatowy sport). Tak że [panował] tam ruch sportowo-harcerski.

Lubię małe aglomeracje, [więc] być może mam duszę człowieka prowincjonalnego. W Gliniku Mariampolskim towarzystwo się integrowało. Nie o wszystkim się mówiło i opowiadało. [W końcu] były to lata powojenne. Dopiero później zdałam sobie sprawę, co tu się działo i jakie niebezpieczeństwo [mogło stanowić] wyrażanie czegokolwiek. Ale ludzie byli solidarni. Na przykład [kiedy] zapaliła się [tam] rafineria ropy, wszyscy mieszkańcy złapali za łopaty i polecili gasić [ogień]. Przewożono tam [również] piach. Boże, wszyscy czekaliśmy spakowani, czy nie będzie następnej fali ognia.

[Wysowa-Zdrój to] przedwojenne uzdrowisko z dawną tradycją, drewnianymi willami, dobrymi wodami mineralnymi [oraz] borowiną. Były [tam] kąpiele borowinowe, jeszcze w drewnianych kadziach. Musiały je wnosić dwie osoby. Pacjent [czy] kuracjusz wchodził do takiej kadzi i –w zależności od zalecenia –moczył kolana albo

[inne części ciała]. W każdym razie nie [kąpał się] w całości, żeby nie naruszyć serca. Ja też wpuszczałam nóżki do tego błota. [Następowały wówczas] bardzo przygodowe momenty.

[Na] Podkarpaciu jest przepięknie. Tym bardziej w Wysowej[-Zdroju, gdzie panuje] balsamiczny klimat. Powietrze [jest] lżejsze niż w Krynicy. [Miejscowość ta leży] w dolinie. [Obszar] Hańczowej nad rzeką Ropą daje [cudowne] efekty krajobrazowe. [Wysowa-Zdrój] to piękna miejscowość. [Na tym terenie znajdują się] piękne łemkowskie cerkiewki [oraz] –przede wszystkim –wspaniałe i wręcz tajemnicze, pełne symboliki cmentarze z pierwszej wojny światowej. To jest naprawdę dewizowy [obszar] (w cudzysłowie), jeśli chodzi o sztukę cerkiewną. Weźmy taki Kwiaton –perła drewnianej architektury cerkiewnej. [Takich] miejscowości jest bez liku. A te cmentarze w swoim bardzo symbolicznym założeniu, z drewnianym czy granitowym wystrojem to już jest opowieść sama w sobie. Tak że ten teren zawsze był mi bardzo bliski. Bardzo [mnie] fascynował historią i zabytkowym dziedzictwem.

Rodzice wynajmowali kwaterę u tamtejszych gospodarzy. Najpierw u pana Pękali. Mieszkał naprzeciwko bardzo, bardzo pięknego drewnianego kościółka, [który] wzniesiono w 1936 roku. Wyglądał na zabytkową i starą [budowlę], ale [jako] pięcio-, sześć-, siedmiolatka nie miałam świadomości co do [jego] walorów. [Chociaż] bardzo dużo pamiętam [z tamtego okresu].

Mieszkaliśmy [zatem] u państwa Pękalów. On hodował pszczoły. Przy wyciąganiu i wirowaniu [przez niego] plastrów miodu usiadłam na ławie. Wcześniej siedziała [tam] pszczoła, być może jakiś inny, groźniejszy owad z tego gatunku. [To coś], krótko mówiąc, ugryzło mnie w pupę. Wszyscy się spodziewali, że spuchnie mi [ta część ciała]. Ale nie –spuchły uszy i nos. Byłam więc jak Murzynek Bambo, który nie mieszka w Afryce, a na Podkarpaciu. Szybko [zaprowadzono mnie] do ciemnego pokoju. [Nastąpiła] straszna akcja ratunkowa. [Chciano mi przyłożyć do bolącego miejsca] serwatkę, [ale] babcia ([która] jeszcze wtedy była [z nami]) powiedziała: „Nie, żadna serwatka. Zimny nóż” I przykładano mi ten nóż to do głowy, to do pupy. Gospodyni [z kolei] rzekła: „Dajcie se panie z tym spokój. Ja zaraz przyniosę zimnej serwatki rozpuszczonej z wodą. Będziemy robić okłady” Potem z pobliskiej letniej kolonii przybiegł pan doktor. „Wapno, wapno” Więc wapno, serwatka, [nóż]... Ale [mimo to] musiałam spędzić kilka pięknych letnich dni w ciemnym pokoju.

[Potem] rodzice wynajęli pokój u pani [mieszkającej] koło cerkwi. [W jej] domku [znajdowało się] okienko pocztowe. Bodajże córka właścicielki przyjmowała [tam listy] od letników i zawoziła [je] do Gorlic [na] pocztę, łączyła telefony. [Pełniła funkcję] telegrafistki. Właścicielką tego gospodarstwa była garbateńka babcia. [Taka] babuleńka, jaką można by było znaleźć w bajkach [Hansa Christiana] Andersena. Jezu, jak ja jej się bałam. [Ale] później bardzo się z nią zaprzyjaźniliśmy. Była przemiła.

[W Wysowej-Zdroju] wszyscy się kąpali w [rzece, która się nazywała] Ropa. Och, jakże się w tym roku zdziwiłam, [kiedy zobaczyłam] z wolna płynący strumyk.

Zapytałam: „Wysowa-Zdrój nad Ropą, a gdzie tu Ropa?” „Ropa? Może gdzieś tam, za miejscowością” [Odparłam]: „Jak za miejscowością?” Brak deszczów, susza. A przecież Ropa i dobiegające do niej rzeczki dzisiaj nawadniają Klimkówkę – przepiękny i potężny obiekt wodny [leżący] przed Wysową, gdzie [Jerzy] Hoffman kręcił „Ogniem i mieczem” W Klimkówce [miejscowości –red.] [znajduje się] piękna cerkiewka. [Jest to cudowny] teren sportów wodnych i turystyki wodnej.

Wysowa zawsze była najpiękniejszym momentem naszych wakacyjnych i rodzinnych wspomnień, [mimo że] bywaliśmy w różnych miejscach. Urodziłam się pod Bieczem na Podkarpaciu, więc zaczerpnęłam jakieś fluidy z tego klimatu, z podkarpackiego wiatru, łąk (a w zasadzie połonin). Jestem człowiekiem stamtąd, choć moje korzenie sięgają zupełnie innego terenu.

2. Łopacińscy w Wysowej-Zdroju

Okazuje się, że najdawniejsze historie z dzieciństwa, z życia, potrafią zatoczyć bardzo piękny krąg i zapiąć się w cenną klamrę. Tak było w przypadku moich rodzinnych wakacji. [W Wysowej-Zdroju] daleko w górach w bardzo pięknej willi mieszkali pewni państwo. Pan był dyrektorem [albo] inżynierem w rafinerii nafty. Zapewne znał moją tatę, [który] także [pełnił] dość liczącą się funkcję administracyjną. [Ci] państwo nazywali się –ni mniej, ni więcej –Łopacińscy. Ale przez pewien czas kojarzyliśmy [ich] jako Łopatyńskich. Nawet [będąc już] tu w Lublinie, nie przyszło nam do głowy, że ci Łopatyńscy (vel Łopacińscy) wiążą się nie z kim innym jak z Hieronimem Łopacińskim, współzałożycielem wojewódzkiej biblioteki (obecnie [nazwanej] jego imieniem).

Skąd Łopacińscy się wzięli w Wysowej? Otóż [Rupert Łopaciński], brat Hieronima Łopacińskiego, był cukrownikiem. W Koryłówce na Kresach prowadził cukrownię. Kiedy w Lublinie powstał [taki zakład, otrzymał tam stanowisko] kierownika u pana dyrektora [Bohdana] Broniewskiego. Potem mieszkał w Przybysławicach [i pełnił funkcję] dyrektora cukrowni w Garbowie. Nie zgadzał się ze swoim szefem, [więc] opuścił tę pracę i przeniósł się do Wysowej. Był to 1905 czy 1906 rok.

Dom powstał w 1936 [roku]. Pan Rupert zmarł przed wojną ([już] po wybudowaniu [willi]). Ale [mieszkała tam] jego żona, babcie, ciotki... [To było] towarzystwo kształcone za granicą, takie na szwajcarskich paszportach. Pochodzili z Kujaw (Hieronim nie był lublinianinem). Wspaniała ziemiańska rodzina. [Łopacińscy] jakoś przetrwali wojnę, pomagając i Łemkom, i partyzantom –komukolwiek. Narazali swoje bezpieczeństwo, ale robili to, co wypadało.

[Po wojnie] dorosły już syn pana Ruperta Łopacińskiego (wnuk Hieronima) [pracował jako] inżynier. Zajmował się wydobywaniem złóż ropy i gazu [oraz] całym przemysłem maszyn wiertniczych. Stąd jego obecność w rafinerii i fabryce maszyn wiertniczych w tymże Gliniku Mariampolskim. Być może wtedy poznali [się z] moim ojcem. Za wojskowym cmentarzem w Gorlicach pracowały już tak zwane kiwony, czyli pompy do wydobywania ropy. Pan dojeżdżał do pracy do Gorlic swoim samochodem marki

Mercedes [albo] Tatra.

Państwo [Łopacińscy] mieszkali tam do 1949 roku, do wysiedlenia. Dwór zaprojektował ni mniej, [ni] więcej tylko pan Karol Siciński, znany architekt i miejski konserwator zabytków w Lublinie. To był wzorowy majątek ziemski. Dzisiaj powiedzielibyśmy –agroturystyczny. Łopacińscy mieli własną elektrownię, własne ujęcie wody, wzorową hodowlę (hodowano tam] owce, jakieś bydełko, drób), wspaniały ogród. Tak że to było bardzo piękne gospodarstwo.

Oczywiście przyjmowano tam letników. Zapraszano [ich] z miasta na herbatę i ciasto –na takie *five o'clock*. Skorzystaliśmy [z tego], więc byliśmy w tej willi –rodzice i ja. Nie wiem, czy wtedy siostra [również z nami poszła], bo jeździła na obozy harcerskie. Było bardzo pięknie i bardzo, bardzo sympatycznie. Zapamiętałam z tej wizyty piękny ogromny dom (prawie dwór). Wewnątrz [wisało] dużo obrazów. Salon [prezentował się] najpiękniej. [Utkwił mi w pamięci] biały nieduży fortepian i biały dywan. [Potem się] okazało, że [rzeczywiście tak to wyglądało]. Więc moje najdawniejsze wspomnienia nie odbiegały od realizmu tamtego czasu. Do tego –nazwijmy –górskiego dworu prowadziła aleja wysadzana [dzikimi –red.] różami. [Były to] powszechne szypowniki, które się smaży. Z jednej strony pachniały róże, z drugiej poziomki. Górskie widoki. Pięknie było.

[Działo się] to w 1949 roku. Niewyobrażalny rok ([choć] wyobrażalny w tamtych stronach). To było rok czy dwa [lata] po akcji „Wisła” Tamte wsie zamieszkiwali łemkowscy górale. [Stali] tam ich chyże (gospodarstwa). Wypasali owce, robili dziegć (mazidło do smarowania kół). Wyrabiali to, co potrafili. Z Łopacińskimi żyli w bardzo pięknej zgodzie, symbiozie. Nawzajem sobie pomagali lub po prostu świadczyli sobie życzliwość.

Do Wysowej przyjechaliśmy bodajże w następnym roku [albo dwa lata później]. Był to może 1951, 1952 rok. [Wówczas mieliśmy kwaterę u babuleńki z garbem]. Przyjemnie mijał [nam] czas. Mama chodziła na zabiegi. Tata bądź był przy sportowych zajęciach, bądź pozostawał w pracy w Gliniku Mariampolskim. Siostra bywała na obozie (nie spała wtedy na kwaterze), [ale] przyjeżdżała [do nas] od czasu do czasu.

[Powiedziałam do] siostry i [jej] kolegów: „Chodźmy do Łopacińskich. Zobaczymy, jak się im żyje w willi” [Szło się tam spory] kawałek pod górę. Zaszliśmy tam. [Zobaczyliśmy] zaniedbane szpalery róż. Wszystko jakieś takie dziwnie zakrzaczone, zarośnięte chwastem. [Doszliśmy do] tego pięknego dworu [i ujrzeliśmy] już [jego] totalną ruinę. Nikogo nie [było], nic się nie działo. Nikt nie wiedział, co się [stało]. Powiedziałam tym] chłopcom (to byli już studenci, panowie): „Chcę zobaczyć, czy [nadal stoi tam] biały fortepian” Podsadzili mnie wyżej, [żebym mogła zajrzeć] do okna. Zajrzałam. [Odrzekłam]: „Jest zgruchotany” I z przerażonym krzykiem [dodałam]: „Ten fortepian gra” „Co ty opowiadasz? Jak to gra?” „No, gra” Okazało się, [że] w strunach załęgły się żmije. Co któraś [się] przesmyknęła, to wydawała jakiś dźwięk. Panowie –dla wzmoczenia nastroju –zrobili paskudną rzecz. Rzucili

kamieniami pod leżące pnie drzew. Żmije wyskakiwały spod nich jak serpentyny. Do dzisiaj wszystko, co pełza, wzbudza we mnie wręcz atawistyczny strach.

Zeszliśmy stamtąd. Nie pytaliśmy z pierwszej ręki: „A co u państwa Łopacińskich?” [tylko] mama zapytała [kogoś o nich i usłyszała]: „Ach, pani Mario, zaraz po tej akcji w 1949 [roku], [kiedy] minęło lato, [razem z] jesienną szarugą przyszli wojskowi z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW) [oraz] jacyś inni urzędnicy. Kazali państwu [Łopacińskim] załadować się na furmanki w ciągu godziny. [W ten sposób] ich wyeksmitowano” Tyle że zdążyli zabrać to, co najważniejsze. [Zawieziono ich] do Gorlic, [wsadzono] do pociągu i wysiedlono do Pisz na Mazury. Dostali niemiecką chałupę (prawie dom). Wiadomo, że [te budynki] były zrujnowane. W sąsiedztwie za płotem [dawniej znajdowało się] Waffen SS, a [potem] Armia Czerwona. Więc oni jako burżuje na pewno nie mieli tam lekkiego życia. Dowiedziałam się już nie od miejscowych, tylko od samego prawnuka Hieronima Łopacińskiego, [że] później udało im się powrócić do Krakowa, gdzie mieszkała większość [ich] rodziny. Prawnuk rozpoczął starania o odzyskanie gospodarstwa.

[Natomiast w ich dworze w Wysowej-Zdroju] Urząd Bezpieczeństwa usiłował zrobić dom wypoczynkowy, [jednak] ktoś ciągle im to podpalał. Potem to wszystko uległo ruinie. W późniejszych latach [z kolei] uzdrowisko Wysowa-Zdrój urządziło sobie [w tym miejscu] wysypisko śmieci. Dziwię się, że chciało im się wozić tak daleko w góry odpadki z zaledwie dwóch sanatoriów i pensjonatów. [Lecz] czego nie robiono, żeby zniszczyć to, co pańskie.

[Do] Wysowej [przyjechałam] jeszcze z mamą gdzieś na początku lat 60. [Później] bywałam z wyprawami etnograficznymi profesora [Romana] Reinfussa –szefa katedry czy działu etnografii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Potem [jeździłam tam] z wycieczkami krajoznawczymi. Tak że ten teren już [od] dawnych czasów [jest] mi bardzo dobrze znany. [Jednak mimo] w miarę częstego bywania [w Wysowej-Zdroju] nie miałam okazji się zainteresować [losem] Łopacińskich. Zauważyłam, że [ich] imieniem [nazwano] aleję, ale nikt nie potrafił mi powiedzieć, co dalej się działo z tą rodziną.

W zeszłym roku zostałam [skierowana do] poszpitalnego sanatorium. Miałam do wyboru albo Wysową-Zdrój, albo Ciechocinek. Każdy normalny [człowiek] wybrałby Ciechocinek. Ja jestem nienormalna, więc [powiedziałam]: „Nie, za wszelką cenę poproszę Wysową-Zdrój. Mam osobisty sentyment do tej miejscowości” I tak się stało. Od razu [po przyjeździe] zaczęłam pytać, co dalej się działo z Łopacińskimi. Pomocni okazali się oczywiście koledzy po fachu, czyli przewodnicy. Był [tam pewien] kolega i pani Maria Świder –troszkę starsza ode mnie wiekowa już dama. Codziennie biegała z wycieczkami sanatoryjnymi po tych górkach. [Powiedziała mi]: „Pani Marto, ja pani sprokuruję, że tak powiem, spotkanie z panem Janem Łopacińskim, prawnukiem Hieronima”

Wymieniłyśmy wizytówki, odbyły się różne telefony i dzwoniłyśmy się [w końcu] z panem Janem. [Łopacińscy na co dzień] mieszkali w Krakowie. [W Wysowej-Zdroju],

w dawnym garażu czy w budynku gospodarczym, mieli letnią siedzibę. Przemili państwo, rodzice dwóch wspañałych synów. Byli naprawdę zdumieni, że jest ktoś, kto pamięta i dom, i [ich przodków] z 1949 roku. Myśleli, że jestem spróchniałą babcią, a [okazałam się] jeszcze dość zażywną kobitką. Oczywiście po wszystkich sanatoriach rozeszła się fama, że jest taka pani, która była [w Wysowej-Zdroju w] 1949 [roku] i w następnych latach i pamięta piękny dwór.

[Pan Jan] przyjechał po mnie i zawiózł [w miejsce, gdzie stała ich willa]. Zobaczyłam ruiny. Oglądaliśmy różne zdjęcia i dokumenty. Oczywiście były pyszne herbata i ciasto. Pan [Jan] doopowiedział mi resztę historii [jego rodziny]. W latach 1990–000 państwo [Łopacińscy] razem z powracającymi Łemkami rozpoczęli starania o przywrócenie [im] posiadłości. To trwało. Raz [im to] dawano, [innym] razem odbierano –rozmaicie. [Ostatecznie] przywrócono im niedużą ziemską posiadłość. Dbają o nią jako o [miejsce] letniskowe. Jest tam jeszcze dom, [w którym] przyjmują letników. I tyle [pozostało] z całej tej historii. Tak się zamknęła piękna klamra wspomnień.

3. Lubelskie wakacje lat 60.

Mieszkam w Lublinie od 1962 [lub] 1963 roku. [Tutejsze] wakacje były różne. Tata i mama pracowali w Fabryce Samochodów Ciężarowych. Czasem jeździliśmy do Firleja [ich] pracowniczym autobusem. Chodziliśmy [także] na [ulicę] Lubomelską na basen. [Jednak] większość czasu trzeba było wystać po oranżadę w kiosku (kupa narodu [czekała na] ciepłą i gęstą wodę), [więc przestaliśmy tam zaglądać]. Jeździliśmy [za to] na ulicę Nałkowskich. Mama, tata i ja. Siostra była, że tak powiem, w świecie. [Dojeźdzaliśmy] do końcowego przystanku i zasuwalimy na łąki [na ulicy] Nadbystrzyckiej. Tata taszczył koszyk z wiktuałami. [Robiliśmy sobie] tam taki wywczas na łonie natury.

[Przez pewien czas] mieszkaliśmy na [ulicy] Mełgiewskiej koło torów, w tak zwanych blokach awaryjnych. [Znajdowały się tam] rozpadliska, gdzie wykopywano [bodajże] piach czy coś [innego]. W jednym z nich rosły maki. Byliśmy zafascynowani barwą tych kwiatów, [która] zmieniała się [wraz] z porą dnia. [Więc] najpierw szliśmy do kościoła na Kalinowszczyznę, a potem [braliśmy] kosz z wiktuałami, koce pod pachę i [wyruszaliśmy] do tych maków. Po prostu oglądaliśmy, jak zmieniały swoje zabarwienie od delikatnego makowego koloru do ciemnego bordo. [To] było piękne miejsce. Ktoś [mógłby] powiedzieć, [że] siedzieliśmy na jakimś wysypisku śmieci. Ale [my] tańszym i mniej wyczerpującym sposobem szukaliśmy miejsca, [gdzie mogliśmy] troszkę posiedzieć na słońcu.

Potem –dopóki nie zostałam przewodnikiem –[organizowaliśmy sobie] rodzinne [spacery] do parku, nad Bystrycę w Zemborzycach czy gdziekolwiek. A później, jak już zaczęłam [oprowadzać] wycieczki, to tyle mnie widzieli. Ale ciągle wspomnieniem pięknych wakacji była Wysowa i jeszcze inne miejscowości na Podkarpaciu.

4. W Lublinie zaczęła się nasza mieszkaniowa gehenna

W 1953 roku wyjechaliśmy z Glinika [Mariampolskiego] i trafiliśmy do Nowej Dęby, [gdzie działały] zakłady metalowe. Mama poszła [tam] do pracy –była starszym brakarzem. Wcześniej [zajmowano się w nich] wojskową produkcją, [ale my] z wojskowością nie mieliśmy najmniejszego kontaktu. W latach 50., jeszcze pod radzieckim okiem, [w zakładach tych] produkowano pociski przeciwlotnicze, [ale] potem [zajmowano się] cywilną produkcją żelazek czy jakichś innych [rzeczy]. Zamieszkaliśmy na] osiedlu, [które] powstało właśnie przy tych zakładach. [W Nowej Dębie] chodziłam do szkoły –od trzeciej aż do dziesiątej klasy.

Tata [pełnił funkcję] szefa klubu sportowego (bo był trenerem), a także kierownika hotelu. Pracował więc w administracji. Ale główne [jego zajęcie skupiało się] właśnie [wokół] klubu sportowego, gdzie prowadził sekcję lekkoatletyczną [oraz] inne zajęcia sportowe. Pan [Gustaw] Krupa (późniejszy dyrektor Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie) nagle bardzo zapragnął ściągnąć tatę do Lublina. [Chciał], żeby [tata] prowadził sport w FSC bądź klub sportowy. Bardzo byliśmy temu radzi –[mogliśmy wyjechać] z małej miejscowości (takiej [jak] przypuścmy Świdnik).

Tata [został więc] ściągnięty do Lublina i zaczęła się nasza mieszkaniowa gehenna. Pan dyrektor Krupa miał taki zwyczaj, że tak zwanym swoim ludziom niechętnie dawał mieszkania. Tak był ludzki. [Z jednej strony] wspaniały organizator życia przemysłowego w Lublinie i dyrektor Fabryki Samochodów Ciężarowych. [Z drugiej] –niewspaniały [człowiek], jeśli chodzi o ludzkie sprawy. Niestety wiele osób ([między innymi] wszyscy inżynierowie), które pan dyrektor [Gustaw] Krupa sprowadził z Nowej Dęby do Lublina, musiało wyjechać gdziekolwiek indziej, bo nikomu nie dał mieszkania. Być może w pierwszym rządzie zasługiwała [na nie] klasa robotnicza. Bo inteligencja pracująca już nie za bardzo.

Mieszkaliśmy w blokach awaryjnych tuż koło fabryki. [To było] ładne duże osiedle nawet z niezłymi mieszkaniami. Tyle że mieszkanie dostawało się podwójne. Czyli [zajmowaliśmy] pokój z używalnością kuchni, [a inna rodzina zajmowała drugi] pokój [również] z używalnością kuchni. [W dodatku] dawano tych „wspólników” nie patrząc, jaki jest kod kulturowy towarzystwa. I niestety, nie dało rady, że tak powiem, zintegrować się ze współlokatorami. Mimo że [mogliśmy użytkować] kuchnię, mama gotowała obiady [na] elektrycznej kuchence, [która] stała na maszynie do szycia. To było bardzo uciążliwe. Gdyby to była kwestia miesiąca, dwóch [miesięcy], to może dałoby się wytrzymać. Gehenna mieszkaniowa nie [dotyczyła] tylko nas. Wielu ludzi [tak miało].

Tata dostał zawału. Mama została zwolniona z pracy tytułem redukcji etatów. Wtedy niestety musieliśmy [się] stamtąd [wyprowadzić]. Rodzice chodzili, prosili: „Panie dyrektorze, ściągnął nas pan z [Nowej] Dęby. Z trzech pokoiów z kuchnią sprowadziliśmy się do jednego” [Niestety] nie dostaliśmy tam mieszkania. Tata jakoś zgadał się z państwem Urbańskimi. Pan Urbański był trenerem i sędzią sportowym, pracował na FSC. Pani Urbańska też [pracowała jako] trener sportowy, prowadziła

zajęcia u Vetterów. Zamieniliśmy się z [nimi mieszkaniem]. [Przeprowadziliśmy się] na ulicę, [która] dzisiaj [nazywa się] chyba [Feliksa] Bieczyńskiego. [Jest to] boczna Wieniawskiej, koło parku. W tamtym [lokalu] też był wspólny korytarz, ale [mieliśmy] większy pokój i większą kuchnię. Z tym że temperatura –w najlepszym wypadku –[wynosiła] dwanaście stopni Celsjusza. [Stał] tam taki głuchy piec, że ani go rozpaść, ani podpalić. Potem wprowadzono urządzenia elektryczne. [W tym mieszkaniu] było bardzo zimno i ciemno, mimo że za oknem [znajdował się] park. Mój Boże, tam mój biedny tato się rozchorował i dostał wylewu.

Oczywiście płaciliśmy na spółdzielnię, [ale na mieszkanie] trzeba było czekać nie wiadomo ile. [Naturalnie] jak jest niedobór, to gdzieś się chodzi, załatwia... My nie chodziliśmy i nie załatwialiśmy. Aczkolwiek tacie pomogły władze sportowe. Bo poszedł [do spółdzielni] już bidny i półsparaliżowany, pytając, czy dalej nie ma prawa do jakiegoś zdrowszego mieszkania. Wtedy właśnie [spotkał] pana prezydenta [Stanisława] Borę. [Ten powiedział]: „Panie Denys, przecież ja pana znam z Gorlic. Jak mam panu nie pomóc?” I pomógł. Tym sposobem znaleźliśmy się tu, gdzie mieszkamy –przy [ulicy Pana] Wołodyjowskiego na Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Mama [z początku] mówiła: „Daj spokój, na parterze będziemy mieszkać...” [Ale tata powiedział]: „Bierzmy, bo mogą się rozmyślić” Wzięliśmy [więc mieszkanie] na parterze i jest bardzo fajnie. Jedynie takie [popelniliśmy] kumoterstwo –po tylu latach męczenia [się] we wspólnych kuchniach.

5. Praca na stanowisku dyrektora Domu Kultury LSM

Od 1965 roku do dzisiaj jestem przewodnikiem. [Jest to] chodzona i mówiona robota. Studiowałam polonistykę, potem w międzyczasie dziennikarstwo. I kiedy już zbliżałam się do wieku, [gdy] trzeba było zafiniszować z pracą, moja przyjaciółka [mi powiedziała]: „No, dajże spokój. Musisz pójść do jakiejś pracy, żeby [dotrzeć] do emerytury” I rada w radę razem z panem prezesem [Janem] Gąbką namówili mnie [na] objęcie dyrekcji Domu Kultury LSM. [Odparłam]: „Być może nadaję się do wszystkiego, ale na pewno nie na dyrektora. [Chociaż]... spróbujmy” Zostałam więc dyrektorem domu kultury. [Pełniłam tę funkcję przez] trzy, cztery lata.

[Na tym stanowisku] nie dało się, że tak powiem, wymyślić prochu. [Zrobili to] już prawie wszyscy moi poprzednicy –od pani Ady Wójcikowej [włącznie. Wtedy] najbardziej pasjonowała mnie praca z dziećmi, organizacja wystaw malarskich, wernisaży ([między innymi] dla [najmłodszych]), wycieczek [oraz] imprez okolicznościowych. W latach 70. [urządzałam] spotkania plastyczne. Brali w [nich] udział znakomici polscy plastycy. [Pokazywano tam] stojące plastyczne elementy, figury, rzeźby, jakieś takie instalacje... Bardzo sobie ceniłam tę merytoryczność kulturalno-oświatową. To był najprzyjemniejszy dział pracy. Oczywiście sprawy ekonomiczne [stanowiły] trudność, ale [zajmowały się tym wyznaczone do tego] panie. Pomagali prezesi. Tak że jakoś dało radę przeżyć.

Wymyślałam różne [wydarzenia], żeby zintegrować i zainteresować mieszkańców.

[Chciałam], żeby coś się działo w tym domu kultury. Bo zawsze się [tam odbywały] różne pozytywne rzeczy –każdy poprzedni dyrektor coś wymyślał. Nie powiem, żeby to była praca moich marzeń. [Ja] lubiałam pracować w przestrzeni i raczej samodzielnie. [W domu kultury] załoga była, jaka była... Ale jakoś się udało dolecieć do tej emerytury.

Wszystko zależało od finansów. [Mając] finanse, człowiek [może] wymyślać, góry [przenosić]. A ja wtedy miałam skromniejsze finanse. Robiłam to, co było możliwe. Może Andrzej [Zdunek] miał troszkę lepszą [umiejętność] perswazji... [Chociaż] nie wiem, czy to wszystko nie upadnie... Ludzie nie chcą domów kultury. [Tego typu placówka] kojarzy [im] się tylko ze [świętym] mikołajem. Oczywiście nie ulega wątpliwości, [że] dużo mieszkańców korzysta z domu kultury, ale mam sąsiadów, którzy nie byli na ani jednej mojej imprezie. Wysyłałam im zaproszenia. Mówiłam: „Nie chcecie mnie słuchać, nie musicie. Ale przyjdźcie. Są piękne operetkowe spektakle” „A, mikołaj [jest] dla dzieci” [Albo]: „A tak, słyszeliśmy...” [Więc] potem już nawet nic nie mówiłam i nie opowiadałam. Pomyślałam, [że] szkoda się wysilać.

Po mnie [Dom Kultury LSM przejął] (i prowadzi [do] dzisiaj) pan Andrzej Zdunek. Skromny [człowiek]. Zawsze był uprzejmy podkreślić [rzeczy, które] robiłam. Pracują [tam] nowi [oraz] moi dawniejsi pracownicy. Starają się jak mogą, żeby pchać [tę] kulturę spółdzielczą. Musi [bowiem istnieć] dostęp do kultury. [Przy ulicy] Grażyny na LSM-ie [funkcjonuje] jeszcze kino Grażyna. Ostatnio są [tam] organizowane bardzo piękne imprezy. Filharmonia daje koncerty, pani [Teresa] Księżka[-Falger] prezentuje instrumentalistów [oraz] solistów. Na osiedlu bliźutko rośnie kilka lip. O rety, jaki dają piękny zapach... Nawet nie chce mi się jechać do miasta [na] zakurzone i rozburzone Krakowskie [Przedmieście]. I wiele osób mówi: „Boże, wreszcie odetchniemy. Posiedźmy chwilę na ławce, bo [tu] jest prawdziwe piękne powietrze”

6. LSM –wzór dla innych spółdzielni mieszkaniowych

Odeszłam na emeryturę, zdając sobie sprawę, że Dom Kultury Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej jest ważnym miejscem pracy w spółdzielczości w skali kraju. Oczywiście pomijam prototyp i pierwowzór, [czyli] Sady Żoliborskie z Warszawską Spółdzielnią Mieszkaniową. Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa również [stanowiła] wzór, przede wszystkim [jeżeli chodzi o] założenia architektoniczne –[na przykład] budowa osiedla [Adama] Mickiewicza na naturalnie ukształtowanej powierzchni, z zachowaniem wąwozów. Wprowadzono tam wspaniałą i bardzo piękną gospodarkę zielenią. Za czasów prezesa [Stanisława] Kukuryki nasadzono wszystko, co rośnie i kwitnie. Do trzystu gatunków drzew, krzewów, krzaków [oraz] innych roślin. [Prezes Kukuryka] był świetnym gospodarzem. Wychodził z rana, [przechadzał się] po osiedlu i patrzył. Później już tylko [przedstawiał] uwagi: „To proszę zmienić. To poprawić. To dorobić” To nie była propaganda. To był rzeczowy przykład pięknie prowadzonego osiedla. Zanim wyrosły drzewa i ukorzeniła się zieleń siano żółciutki łubin. [On] pachniał, rósł na później, użyźniając glebę. Ludzie potem sami sadzili [rośliny],

sprzątali... [Kiedyś panowała] niezwykła solidarność sąsiedzka i społeczna. Dzisiaj już nie ma czegoś takiego. [Teraz się o tym] mówi: „Aa, przeżytki komuny” Daj Boże takie przeżytki.

Tak że to osiedle naprawdę rozkwitało pod ręką Kukuryki. Później [to trwało] w miarę możliwości kolejnych prezesów. Do ostatniego – pana Jana Gąbki. Niestety [teraz] usiłuje się wieszać na nim psy. Ale kiedyś ludzie będą wspominać jego kadencję z tym większym uznaniem rozrzewnieniem i sympatią. Mówię to bez przesady. Można było [go] lubić [bądź] nie. [Można było] mieć [do niego] różne uwagi –takie czy inne. [Ale trzeba przyznać, że] był wspaniałym organizatorem miejskich aglomeracji, i nie tylko. On powinien zarządzać miastem. Wspaniały gość.

Jeszcze za pana [Stanisława] Kukuryki zaproponowano, [że] osiedle [będzie nosiło] imię Adama Mickiewicza. [Z kolei] ulice nazwano [od] bohaterów literackich [jego dzieł. Czyli ulice]: Grażyny, Konrada Wallenroda, Wajdeloty... [Kiedyś] zapytano mnie na wycieczce (to już przeszło w anegdotę): „A jest ulica Dziady? To też Mickiewicza” Ja [odparłam]: „E tam, jak tak dalej pójdzie, to to wszystko tak się będzie nazywało” [Na LSM-ie] mieszkali młodzi dziennikarze, pracownicy naukowci, artyści, młodzi i starsi [obywatele] Lublina. [Kiedyś] nie za bardzo mieli ochotę [tam się przenosić], bo [te osiedla znajdowały się] dość daleko od miasta. Mówili: „Co będziemy w polu mieszkać” Ale potem zaczęła się usprawniać komunikacja miejska i dzisiaj jest to najruchliwsze miejsce w Lublinie, [wręcz] zajeżdżane samochodami.

7. LSM jako temat wycieczek po Lublinie

Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa była oczywiście tematem naszych wycieczek po Lublinie. LSM i osiedle Mickiewicza zawsze wzbudzały zainteresowanie. Przyjeżdżaliśmy tam, wysiadaliśmy [w miejscu], gdzie [znajdowały się] sklepy, bo ludzie chcieli sobie coś kupić. [Na przykład przy ulicy Konrada] Wallenroda. Potem robiliśmy spacer. Wchodziliśmy w głąb osiedla, gdzie [się znajduje] plac zabaw ze słynną rakieta, samochodem willysem, huśtawkami i jakimiś takimi różnymi urządzeniami. Ludzie z Polski byli tym zachwyceni. Raz do rakiety weszli mi Ślązacy. Jeden z nich był za gruby i się zaczopował –nie mogli wyjść. Poza tym [pokazywałam im] różne gatunki drzew: a to wejmutka, a to kosodrzewina... [Mieli okazję zobaczyć również] rozmaite rybki w stawie. [To były] zjawiska przyrodnicze niewidziane na innych osiedlach w Polsce.

[Taki] spacer [trwał około] pół godziny. Robił nadzwyczaj miłe wrażenie [na] wycieczkach nie tylko krajowych, [ale] i zagranicznych. Raz mnie zapytano: „A czy mieszkają tu Murzyni?” [Odpowiedziałam]: „Jednego widziałam. Student z UMCS-u” Dopóki nie pojechałam do Stanów Zjednoczonych, nie wiedziałam, dlaczego tak ich to interesowało. W Chicago [pewna] rodzina pokazała mi slumsy. Wypisz, wymaluj –LSM. Tam właśnie mieszkali [Afroamerykanie]. To była jedna wielka dewastacja. [Chociaż] warunki techniczne czy mieszkaniowe [mieli] o niebo lepsze. Ci ludzie nie szanowali miejsca, w których mieszkali. Wyniszczali [je]. Kazali sobie dawać nowe

bloki, nowe osiedla, nowe miejsca zamieszkania... [To były] różnice (nazwijmy [to]) kulturowe. Oczywiście nie wszyscy –nie uogólniamy.

Bardzo często miewaliśmy wycieczki, które życzyły sobie [oprowadzania] po osiedlu [Juliusza] Słowackiego. [Obiekt ten budzi zainteresowanie] ze względu na hansenowską architekturę. Wszystko to [wygląda] bardzo pięknie: linearna otwarta architektura (bloki, które miały biegnąć od Giewontu do Bałtyku w otwartej linii), amfiteatr, naturalne ukształtowanie powierzchni... Budowano [to] pod hasłem: „Lepiej, szybciej, taniej” Było szybciej i taniej. Ale czy lepiej? Lepiej nie pytać. Maluteńkie mieszkanca, jaskółcze balkony (dziś nie można [ich] nawet ruszyć, [ponieważ] nie pozwala [na to] rodzina [Hansenów]; niechby sobie zamieszkała w tych blokach i zobaczyła), ślepe kuchnie, różne zawracanie głowy... Z daleka architektonicznie to wygląda [dobrze, lecz] warunki [są] skromne i trudne. Ale to był czas, gdy [panował] straszny głód mieszkaniowy –zrozumiały deficyt [istniejący] od lat.

[Podczas wycieczek opowiadałam o tym], że [przed powstaniem LSM-u na tym terenie] były gospodarstwa i pola. Że ulica Głęboka [powstała na obszarze] dawnego wąwozu. Że [kiedyś działała] tu cegielnia. Że z dzisiejszej ulicy Powstania Styczniowego poprzez rzekę Bystrzycę do cukrowni jeździła kolejka wąskotorowa. Że pomiędzy dwupasmówką alei PKWN-u (dzisiaj w dalszym ciągu [ulica] Głęboka) [znajdowała się] jeszcze chałupka, [przy której rosły] dwa drzewa. [Mówiłam]: „Nie ruszy się z tej chałupki, żeby nie wiem co” I [ona rzeczywiście] długo stała, aż wreszcie mu wyperswadowano [mieszkanie w takim miejscu].

8. LSM zawsze był i będzie moją ulubioną dzielnicą

Na LSM-ie skuteczniano wiele różnych ciekawych inicjatyw. Na przykład [na terenie] osiedla Piastowskiego [stoją] ([dziś] odnowione) rzeźby pierwszych Piastów. To osiedle w swoim wnętrzu jest tak urokliwe, że gdybym jeszcze prowadziła wycieczki, to [oprowadzałabym] tam [turystów]. A nie było łatwo podjechać [w to miejsce] autokarem.

Na [obszarze] LSM-u [istnieją] bardzo ciekawe kompozycje. [W miejscu, gdzie] się wjeżdża od strony [osiedla Adama] Mickiewicza w [kierunku] kościoła, [znajdują się] figury nie z tej ziemi. [W innych lokalizacjach można zobaczyć] jaszczurki, jaskółki, pomnik hydraulików (naprzeciwko [hali] Globus; [stworzony z miedzianych] rur [i dlatego tak] nazywany), prześwity mozaikowe, fasady bloków w kropki...

Zgodnie z życzeniami mieszkańców [na obszarze osiedla Juliusza Słowackiego] stanął piękny kościół [błogosławionego Piotra Jerzego Frassatiego –red.]. [Wybudowano go] już dawno [temu. Na LSM-ie wzniesiono i] inne [świątynie. Oczywiście] inną kwestię [stanowi to], czy architektura [jest] gorsza, [czy] lepsza. Każdy czas ma swój znak architektoniczny, więc nie ma się co dziwić.

Mieszkam na osiedlu [Henryka] Sienkiewicza i jestem [nim] zachwycona. Administracja się stara i dba o to osiedle (jak i o [pozostałe]). Mieszkam w parku,

[więc] nie chce mi się jeździć po żadnych [innych] parkach [czy] ogrodach. Wystarczą mi [tutejsze] różne gatunki drzew. [Jednak] nie [wszystkim] ludziom podoba się przyroda. Nie podobają się ptaki, które śpiewają, trawa, która rośnie, pieski, które czasem szczekają. Dawniej mówili: „My nie po to przyszliśmy tu ze wsi, żeby mieszkać w lesie” Dziwni ludzie. Ale... wszystko jedno. Jestem bardzo zachwycona osiedlami, a LSM zawsze był i będzie moją ulubioną dzielnicą.

9. LSM –w czasie budowy wszystko było radosne i fajne

[Na LSM przeprowadziliśmy się] gdzieś [na] początku [lat] 70. 1971, 1972 [rok], jakoś tak. [Wtedy] w czasie budowy wszystko było radosne i fajne. Tylko [że pojawiały się] na przykład rozmaite nedoróbki. Wystarczyło kopnąć tekturowe drzwi i było się w domu. Czasem trafiały się zużyte piecyki. Ale najbardziej uciążliwe było to, że [kiedy szło się] do miasta, trzeba było nosić dwie pary butów –jedne do wyjścia, drugie do przyścia. Bo co sobie ([my jako] mieszkańcy) udeptaliśmy ścieżkę z [ulicy Pana] Wołodajewskiego [na] osiedlu [Henryka] Sienkiewicza do przystanku autobusowego, to przyjeżdżał traktor i zaorywał [teren, ponieważ w tym miejscu] miała być trawa. [Więc] my dalej [robiliśmy sobie] ścieżkę. To było trochę śmieszne i nieśmieszne. [Musieliśmy] przeżyć te drogi donikąd, aż potem to wszystko się zużyło. [Z czasem] komunikacja [działała] coraz lepiej. Najpierw [pojawiały się] autobusy, a potem trolejbusy. [Więc] dojazd stawał się możliwy. Natomiast samo dojście do bloków –póki nie wytyczono alejek [oraz] chodników –było niesamowite.

Budowniczym LSM-u pomagały jeszcze konne wozy [bądź] fury. Wywożono [nimi] glinę, dowożono cegły. To był bardzo sielski krajobraz. [Wtedy ulica Pana] Wołodajewskiego [stanowiła] teren ogrodów i już wysiedlonych gospodarstw. Chodziłyśmy z mamą (tata troszkę mniej mógł [spacerować]) w stronę starego lasu. [Mogłyśmy znaleźć tam] jeszcze ślady [po] polach uprawnych, ogrodach. Zbierałyśmy różne zioła, kwiaty (ja mam *idée fixe* [na punkcie] zbierania jakiegokolwiek zielska). Wąwoziki były rozkoszne. Bardzo pięknie to wszystko [wyglądało].

Powoli zaczynały [się pojawiać] sklepy, przychodnie i różne [tego typu] rzeczy. [Otwarto] dom kultury. [Początkowo ten budynek] przewidziano na kino i salę konferencyjną. Ale pan [Stanisław] Kukuryka, pani [Ada] Wójcikowa, inni spółdzielcy i rady programowe postanowili rozpocząć pracę kulturalno-oświatową. [Organizowano] (przede wszystkim dla dzieci) różne zespoły taneczne i plastyczne, teatry żywego słowa i przy stoliku... Na LSM-ie występowała masa aktorów [oraz] znakomitych postaci polskiej sceny. Tak że [była] to placówka naprawdę godna najwyższego uznania.

[Jako dyrektor Domu Kultury LSM pracowałam] króciutko, tak że nie [zagłębiałam się] w życie samorządowe [czy] pracownicze spółdzielni. Ale starsi pracownicy wspominali, że [kiedyś] to zupełnie [inaczej wyglądało]. Cała grupa spółdzielców szła [na] pochód pierwszomajowy. [Potem] albo szybko wracali do kogoś na działkę, albo [chodzili] gdzieś, gdzie można było zasiąść, czymś się poczęstować i trochę razem

się nacieszyć. [Organizowano] wspólne wycieczki to tu, to tam... [Istniały] różne objawy, że tak powiem, życia społecznego. I w jakiś sposób [istnieją] do dzisiaj. Nieopodal [znajdowało się] gospodarstwo i z [naszych] okien był widoczny dom [otoczony] topolami. Na Boże Narodzenie tata stawał w oknie i mówił: „Słuchajcie, zaczynamy wigilię, bo tam już się pali choinka” [Dopiero wtedy] zasiadaliśmy do [stołu. To] były takie lokalne drobiazgi, ale bardzo [nam] bliskie. [Dziś] nie ma już [tego] domu. Zostały [po nim tylko] dwie topole. [W tamtym miejscu] rosły jeszcze stare orzechy. [Tam, gdzie] dzisiaj [znajduje się] bardzo piękny park Rury, chodziłam się opalać.

Jak dostawaliśmy mieszkanie, to wręczenie [do niego] kluczy odbywało się w osiedlowym klubie. I ci, co [otrzymywali] klucze, z całego bloku się [spotykali i] zapoznawali. Każdy był ciekawy, kto tu mieszka. Zawsze [częstowano] jakimiś napojami, ciasteczkami. [W ten sposób] się poznawaliśmy. Oczywiście [istniały] rozmaite [zarówno] wady, [jak] i zalety sąsiedztwa. Przyznam się, że dzisiaj zostało nas –starych lokatorów –niewielu. Odchodzimy. Jezu, w mojej klatce było pełno dzieciarni. Dzisiaj [mieszkają tu] młodzi ludzie, ale dzieci jest niewiele. To samo się dzieje w innych blokach.

10. Prowadzenie audycji muzycznych dla Filharmonii Lubelskiej

Po śmierci mojej mamy zostałam sama. W pewnym momencie [nie miałam też] pracy. Wycieczek było niewiele. Padły redakcje (był [to] świetlany czas restrukturyzacji). A pracowałam w różnych, [między innymi] w miejskiej gazecie „Stop” –popołudniówce dodawanej do „Kuriera [Lubelskiego]” –[oraz w] „Tygodniku Współczesnym” Musiałam więc na chwilę [pożegnać się] z dziennikarstwem. Nie wiedziałam, co [robić]. Szłam ulicą Marii Skłodowskiej[-Curie]. Zobaczyłam duży gmach, w [którym] znajdowała się filharmonia. [Pomyślałam, że] pójdę [tam], zobaczę. Może się do czegoś nadam.

[Weszłam] do sekretariatu. [Zobaczyłem] Halinkę, moją koleżankę z „Kameny” Ona pracowała w sekretariacie, była sekretarką pani dyrektor [Teresy] Księżkiej[-Falger. Zapytała mnie]: „Co robisz?” [Odpowiedziałam]: „Nic, szukam jakiejś roboty” „No, to już –wchodź do pani dyrektor Księżkiej” [Odparłam]: „Coś ty...”[Ale] wepchnęła mnie do gabinetu. Pani dyrektor [zagadnęła]: „O, pani redaktor, witam. Czy coś piszemy?” [Powiedziałam]: „Nie. Bida z nędzą. Pani dyrektor, jestem najgorszym adwokatem w swoich sprawach. Ale nieśmiało zapytałam, czy mogłabym [otrzymać] jakieś zajęcie w filharmonii? Mogę coś pisać, mówić. Mogę wpuszczać i wypuszczać ludzi. Gorzej z wieszaniem pałt w szatni, bo jestem za [niska]” „Ależ, pani Marto, pani redaktor, będzie pani prowadzić audycje muzyczne” [Odparłam]: „Pani dyrektor, jest pani pewna, że mogę się [podjąć] takiej funkcji? Nigdy w życiu nie miałam do czynienia z muzyką. W szkole [należałam do] chóru, [ale] pan nauczyciel mnie wyrzucił. Powiedział: «Solistów nie potrzebuję»” [Pani Księżka powiedziała]: „A ja właśnie potrzebuję solistów. Od września poprowadzi pani audycje muzyczne” Uszom i

oczom nie wierzyłam. [Byłam] bardzo zdumiona. „[Niech] się pani skontaktuje z panią Bożenką Romanowską, która [pracuje] w dziale organizacji koncertów. Ona panią poinstruuje, co [trzeba robić]. [Będzie] pani jeździć z audycjami muzycznymi [po] szkołach”

Skontaktowałam się z Bożenką. [Powiedziała]: „Wiesz, pierwsza tura będzie z [Lubelskim] Trio Stroikowym Andrzeja Mazura. Zatytułowano [ją] «Od Joplina do Gershwina, czyli historia jazzu». [Ale] co to dla ciebie...” [Odparłam]: „W zasadzie nic. Fajnie” [Ale] pomyślałam: kurde, co to jest trio stroikowe? O co tu chodzi?” [Dodała jeszcze]: „Masz tutaj [ich] płytę. Zobaczysz, co grają” Jezu, jak [to] usłyszałam, [poczułam] wniebowstąpienie. Ragtime’, klasyka czarnego jazzu... W bibliotece złapałam wszystkie książki, [w których] ktoś pisał coś o jazzie. Pomyślałam: przede wszystkim muszę [się] dowiedzieć wszystkiego o jazzie: [kim byli Scott] Joplin, [George] Gershwin, [Louis] Armstrong, Ella Fitzgerald; [czym charakteryzował się] *old jazz* z Chicago. [Wykorzystałam wtedy] przewodnicką i dziennikarską szkołę dochodzenia do wiedzy. Nie ważne, o czym piszesz. Może [to] być [nawet] wydobycie lub mechaniczna obróbka węgla ([swoją drogą kiedyś] też wyrażałam się na ten temat). [Ważne, żeby] zdobyć wiedzę i przełożyć [ją] na język czytelniczy albo żeby, ogólnie rzecz biorąc, dało się tego słuchać.

[Ciągle] słuchałam płyty [Lubelskiego Trio Stroikowego. W końcu] zgrałam ją wręcz do kręgosłupa. Musiałam [nawet] poprosić o drugą. [Ostatecznie] zrobiłam fajne notatki. [Wypisałam] różne ciekawostki i różnaitości na temat filharmonii [oraz] samych muzyków. Ale pomyślałam: muszę wyjaśnić, co to jest stroik i dlaczego to trio [tak] się [właśnie] nazywa. I dowiedziałam się, że] jest to [przyrząd, który] się zakłada do fletów, klarnetów, obojów i tego [typu] instrumentów. Te instrumenty też [musiałam poznać], żeby [nikt] mnie nie zaskoczył [pytaniami]: co to jest obój, co to jest fagot, co to jest klarnet... Wszystkiego się ponauczałam [i byłam] w tym bardzo biegła. Potem się [zastanawiałam], w co się ubiorę. [Chciałam], żeby to wyglądało [profesjonalnie. Zobaczyłam, że muzycy występowali] w czarnych smokingach czy frakach. [Więc] ja też [ubrałam się w] biało-czarny [strój].

[Początkowo inni] patrzyli na mnie bardzo nieufnie. Przyszła nowa, [więc] co i jak [teraz] będzie... Ale już po pierwszym [koncercie wyszło] fajnie. [To] były bardzo przyjemne spotkania z młodzieżą. [Należało] złapać [tę] widownię –tak jak wycieczkę [bądź] turystów. [Musiałam używać] krótkiej formy. Nie mogłam się rozgadywać, bo w końcu najważniejsza była muzyka. Później wszyscy się ze mną zaprzyjaźnili –i młodzież, i dzieci, i nauczyciele.

Dwa tygodnie jeździliśmy po Lubelszczyźnie: Biłgoraj, Zamość, Szczebrzeszyn, Lubartów, Biała, Łęczna, Radzyń Podlaski, Łuków (tam [się znajdowała] szkoła muzyczna) i tak dalej. Potem [brały w tym udział również inne] zespoły. Była i operetka, i muzyka dworska baroku, flamenco –różny repertuar. Zaczęli jeździć [także] instruktorzy muzyczni [oraz] prelegenci filharmonijni. Natychmiast robiłam materiał, zasadniczo [oparty na] ciekawostkach. Boże, jak lubiliśmy się z tą

publicznością. Jednak [po] pięciu, sześciu audycjach [robionych] jedna po drugiej [już] nie wiesz, jak się nazywasz. [Czasem] się [zastanawiałam]: „Jezus Maria, czy ja się przedstawiłam? Czy ja ich przedstawiłam?” Człowiek się zagadał i potem już nie wiedział, co mówił. [Kiedy] wracaliśmy, gdzieś na jakimś leśnym parkingu robiliśmy [przerwy na] małe co nieco, żeby troszkę się pożywić. Do dzisiaj [to] wspominamy. Te koncerty czy (nazwijmy [to]) audycje muzyczne [odbywały się] w domach kultury i szkołach, w aulach, salach gimnastycznych na korytarzach... [To] były trudne warunki. Niestety właśnie [wtedy] rozpętała się moja astma. Z kurzu. Po każdej trasie łapałam wirusowe zapalenie oskrzeli. A pracując jako przewodnik na wolnym powietrzu, [podczas] wszystkich pór roku, nigdy nie miałam anginy [czy] kataru, nigdy nie bolało mnie gardło. Wystarczyło parę koncertów w obiektach zamkniętych i koniec.

Trzy lata jeździłam [na tego typu koncerty]. Wyjazdy były różne. [Musieliśmy] wstawać o piątej [lub] wpół do szóstej i czym prędzej [zjawiać się] na miejscu wyjazdu, [czyli] pod filharmonią. Kierowcą i organizatorem był pan Lucjan Kurkiewicz. Fajny gość. I jechaliśmy. [Zobaczenie] wschodu zimowego słońca wynagradzało wszelkie niedospane poranki. Raz czy dwa [razy] nie dojechaliśmy [na audycję]. Śniegi powaliły słupy i drzewa i trzeba było [wszystko] odwołać. [Kiedy] się rozeszła [pogłoska, że organizuje się] takie fajne wyjazdy, to nawet z Zamościa przyjeżdżał muzyk ([czy też osoba] związana z muzyką) i [proponował], że on też [mógłby] jeździć jako prelegent.

To była bardzo fajna przygoda muzyczna. Trzy lata pięknego doświadczenia. [Wyjazdy te miały miejsce pod koniec lat] 90. [albo po] 2000 [roku] –tak na przełomie. W międzyczasie pisałam już przewodnik, [zaczęłam publikować] w gazetach... Tak że zaczęły się dziać takie różne pisane rzeczy. Intensywnie wracałam [też] do przewodnictwa. [Ponadto w tym czasie] na pół roku wyjechałam do Stanów. [Stamtąd wysyłałam] jeszcze [do] pani dyrektor propozycje repertuarowe, wiedząc, co [odbiorcy] lubią słuchać. Ale potem z [powodów] ekonomicznych zaczęło to powoli, powoli siadać. Szkoły nie miały pieniędzy, rodzice [również] nie mieli zamiaru się wykoshowywać.

11. Przygoda z lubelskimi mediami

Pan redaktor [Janusz] Danielak [jako] pierwszy zrobił ze mną wywiad w radio. [Było to w] latach 70. Potem zaczęto mnie zapraszać [do udziału w innych] audycjach [dotyczących między innymi] historii Lublina. [Słuchowiska o tej tematyce] prowadził [również] Marek Wyszowski.

Potem się zaczęła telewizja. Śmiesznie się zaczęła. Redaktor Stankiewicz zaprosił [mnie do] audycji jako wybitnego krajoznawcę. Siedzieliśmy niby przy ognisku. [Ja zajęłam miejsce] na pniaczku. A byłam [wtedy] troszkę grubsza. [Pomyślałam]: Jezu, nie usiedzę na tym pniaczku. [Ale] dobra... To była pierwsza audycja wizyjna [w postaci] krótkich filmów, takich spotów. Mieliśmy opowiadać o sprzętaniu świata.

Przygotowałam się do [tego, chociaż] akurat nie bardzo [interesował] mnie ten temat. I zaczęliśmy opowiadać. [Ale po jakimś czasie zobaczyłam, że] wszystko powiedziałam o sprzątaniu świata. [Zwróciłam się do redaktora Stankiewicza]: „Kochany, już wszystko [zostało] powiedziane. To o czym ja tu będę [mówić], jeszcze raz o tym samym?” „Jezus Maria, Marto, mamy sekundę. Co my [powiemy]?” [Odparłam]: „Proszę mnie zapytać o najmniej znany region [czy] miejsce, które trzeba [odwiedzić]” Tak to [wymyśliliśmy. Już przed kamerą zaczęłam opowiadać]: „Najmniej znane są Działy Grabowieckie. [Leżą] między Grabowcem a Skierbieszowem. [To] jest bardzo piękny subregion Wyżyny Lubelskiej [albo] Padołu Zamojskiego z górkami, wąwozami...”

I [tak] rozczulałam się na temat uroków tych miejsc, [kiedy] pan redaktor [się zwrócił do mnie]: „Ach, Marto, to my tam zaraz jedziemy. Zapraszamy panią. Zrobimy reportaż, a pani będzie naszym przewodnikiem. I bardzo fajnie. Umówiliśmy się na ten reportaż. Akurat zapanowały jesienne mgły. Nic nie było widać, a [musieliśmy zrealizować] ten reportaż. [Pojechaliśmy do] Wojśławic [i do różnych innych miejsc]. To wszystko gdzieś wynajdowaliśmy, panowie szukali lepszego pleneru. [W końcu udało] się [nam] utkać z tego bardzo ładną audycję.

Potem Adaś Sikorski [mnie zapytał]: „Marto, zrobiłabyś nam [materiał o] dziejach lubelskiego przemysłu? Co ty na to?” [Odpowiedziałam]: „Fajnie. Ale potrzebuję kogoś do pomocy, bo [jedna] kobieta nie da [sobie] z wami rady. Poproszę Marka Wyszowskiego –będziemy [pracować] wspólnie w zespole” „Dobra” Tak zaczęliśmy [działać]. Jeździliśmy na dokumentację. [Czasem] ja pisałam tekst, czasem Marek. I [wspólnie] zrobiliśmy kilkanaście dobrych odcinków „Dziejów przemysłu lubelskiego” Staraliśmy się nadać temu żywą formę. Dla mnie to był fascynujący temat: wszystkie zakłady pracy, ślady dawnej produkcji... Dziś nie ma tych zakładów. Już wtedy ledwo, ledwo [funkcjonowały]. Teraz został [jedynie nasz] dokument –lepiej [lub] gorzej opowiedziany. Od czasu do czasu [jest] puszcany w telewizji.

[Później] Marek [powiedział]: „Dobra, zapraszam cię do «Albumu Lubelskiego»” [Zgodziłam się]. Współpracowałam z [nim również przy cyklu] „Patroni naszych ulic” Wspieraliśmy się w tym. Z Markiem [Wyszowskim] zrobiliśmy cały lubelski przemysł spożywczy, [ale] skończył się, [kiedy] pan redaktor [Leszek] Wiśniewski wszedł z cystersami. [Z kolei] ksiądz Leszek Surma [zwrócił się do mnie]: „Marto, chodź do nas do «Dziedzictwa»” [Odparłam]: „Jezus Maria, a co, [mam] msze odprawiać [czy] homilie pisać?” „Nie, napisz mi opowieści o świętych”

Więc [zajmowałam się] właśnie takimi tematami. To wszystko było wspaniałe. Ta telewizyjna kuchnia [wcale] nie jest taka prosta. [Musiałam] wyszukać [mnóstwo] obrazków, bo [one] zmieniały się co półtora zdania. [Kiedy] robiłam [materiał o] cukrowni, miałam zdjęć tylko [na] pięć minut [programu], a [potrzebowałam] piętnaście. Ale powolutku się wprawiliśmy w to wszystko. Miałam bardzo piękne doświadczenia i [wspaniałą] przygodę z radiem i telewizją. Wbiłam się w tematykę, [która jest] zawsze żywa i ciągle potrzebna. [Nadal pojawia się] tam od czasu do

czasu, [kiedy] są potrzeby, żebym coś powiedziała, czy żeby mnie, przypuśćmy, zobaczyli.

12. Mój wkład w przewodniki i albumy o Lublinie

[Ci, którzy] byli zainteresowani wydawaniem przewodników, zgłaszali się do mnie i do kilku [innych] autorów. [Bo tak naprawdę tego typu publikacje] nie [stanowią] jednoosobowych prac –z tym jest kawał roboty. Pisali do nas [na przykład] Waldek Żelazny [albo wydawnictwo] Gaudium ([jest to] kościelny wydawca). [Ponadto] dwa czy trzy razy urząd prezydenta miasta [prosił] mnie o [napisanie] wstępu do albumu o Lublinie. Tak że w tych wydawnictwach tam gdzie jeszcze egzystuję.

Pisałam [też] różne artykuły do „[Trybuny] Ludu” „Kuriera [Lubelskiego]” „Sztandaru [Ludu]” „Kameny”[oraz] „Tygodnika Współczesnego” Potem jeszcze gdzieś tam, jeszcze gdzieś tam... Pokazywałam się w różnych tytułach z reportażem krajoznawczym i historycznym.

[Stworzyłam również], że tak powiem, wiekopomne dzieło „Lublin [między wojnami. Opowieść o życiu miasta] 1918–39” Sama często z niej korzystam. Włożyłam [w nią] sporo różnej wiedzy. Tak że [taki jest] mój [wkład] w przewodniki i albumy o Lublinie.

[Podczas oprowadzania korzystam], że tak powiem, z zestawu [lubelskich legend. Czyli opowiadam o]: czarnej łapie, kamieniu nieszczęścia, o koguciku, złocie u bernardynów... [Przedstawiam te, które] kojarzą się z [danym] obiektem. [Ogólnie] mówi się legendy o legendach. [Poza tym przy oprowadzaniu] bardzo często korzystam z różnych anegdot o ludziach [oraz] wydarzeniach, z biograficznych ciekawostek [bądź] tajemnic. [Stąd] nie muszę bazować na samych legendach. Tak że w [tej dziedzinie] trzeba uprawiać, że tak powiem, różne grządki.

13. Praca w Wojewódzkiej Federacji Sportu

W Wojewódzkiej Federacji Sportu pracowałam bodajże dwa, trzy lata. [To] też był taki [czas, kiedy] nic się nie działo [i miałam] przerwę między pracami. Akuratnie wtedy powstała Wojewódzka Federacja Sportu. [Miała na celu] zjednoczenie wojewódzkich związków sportowych ([między innymi] Lubelski Związek Piłki Nożnej, Lubelski Związek Boksu [i tak dalej]). To było [połączenie] władz danej dyscypliny. Spotkałam kolegę, pana Nikodema Żukowskiego –trenera judo i psychologa sportowego. [Zapytał mnie]: „Co robisz?” [Powiedziałam]: „Nic nie robię” „To przyjdź do nas” [Odparłam]: „Cóż ja u was [będę robić]?” „Przyjdź”

To przyszłam. [Zaangażowali] mnie [do] wymiany zagranicznej. [Zajmowałam się] wymianą sportowych ekip wyjazdowo-pryjazdowych, oczywiście z zorganizowaniem hoteli, wyżywienia, rozrywek [oraz] wycieczek. To już byli trenerzy, merytoryczni pracownicy. Przydałam się tu z moimi językami –bułgarskim [oraz] rosyjskim. [Właśnie] z racji języka częściej wyjeżdżałam do Bułgarii. W ciągu roku miałam czterdzieści ekip –tam i z powrotem, dwadzieścia tu, dwadzieścia tu. Duży ruch. [To były] pobyty dla poprawy kondycji bądź też towarzyskie rozgrywki. [Robiono] turnieje

w piłce siatkowej, koszykówce, dźwiganiu ciężarów, boksie, judo, pływaniu (w stylu wolnym, klasycznym), lekkoatletyce, zapasach... Tak że taka właśnie była wymiana. Sport [to dla mnie] drugi fascynujący dział ([tuż] po przemyśle). [Zresztą] tata był trenerem, [więc] sport nie był mi obcy. [Zajmowałamby się tym dłużej, jednak] musiałam się wycofać ze sprawy i skończyć magisterium z polonistyki. [Musiałam wybrać] –albo to, albo to.

[Wojewódzka Federacja Sportu miała swoją siedzibę] na pierwszym piętrze hotelu Europa, nad Estradą [Lubelską] (z zachodniej strony, od placu Litewskiego). [Zajmowała] cały korytarz (kilka pomieszczeń) od restauracji do [pokoju] Estrady [Lubelskiej]. Z kolei na [samej] górze [mieścił się] zarząd okręgu i dom wycieczkowy PTTK. [W federacji zajmowano się] wszystkimi dyscyplinami. [Ponadto] prowadziłam tam biblioteczkę sportową. [Zbierałam dodatkowo] informacje o wynikach sportowych [z całego] tygodnia.

Potem Wojewódzka Federacja [Sportu przeniosła się do hali] Globus. A w latach 90. [najpierw ją] zredukowano, [a następnie] przestała istnieć. To był organizacyjny wynalazek. Dobry pomysł, ale nie wypalił. Wrócono do tradycyjnych związków sportowych. Zaczęły padać kluby [oraz] zakłady. Dzisiaj struktura sportu [wygląda już] zupełnie inaczej.

Data i miejsce nagrania	2018-06-27, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Maria Buczkowska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"